Nr. 47 Rok 5 Kraków, dnia 19 listopada 1944. 40 gr.

Ilustrowany Kurier Polski

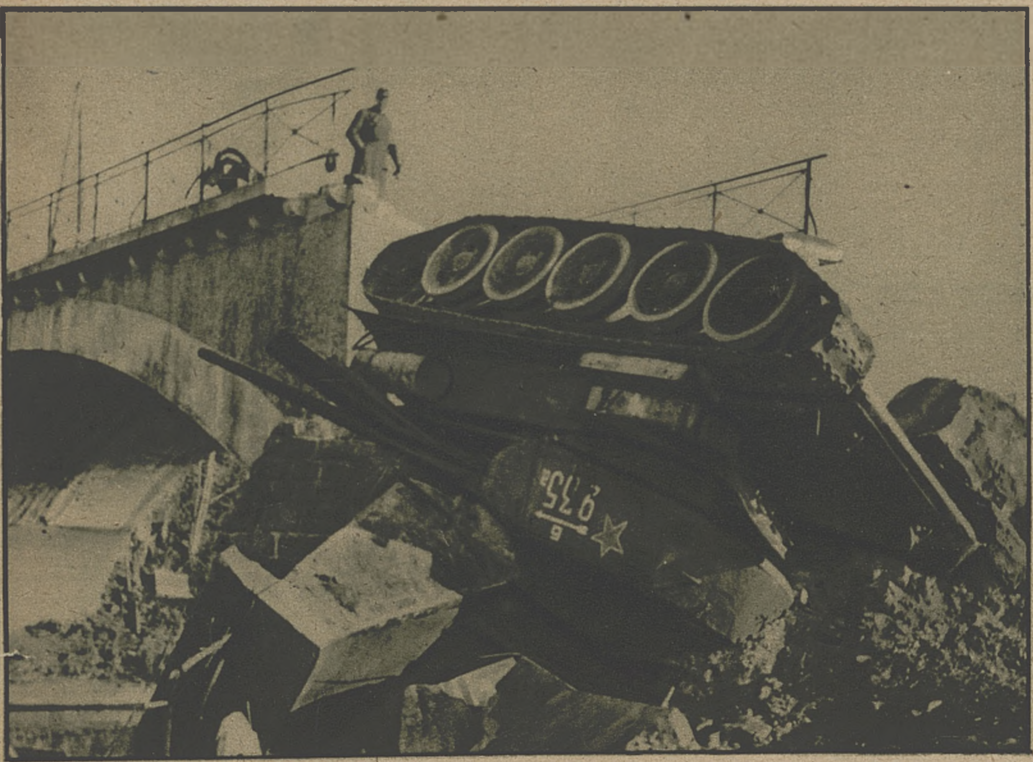


POWRÓT Z HAL ALPEJSKICH

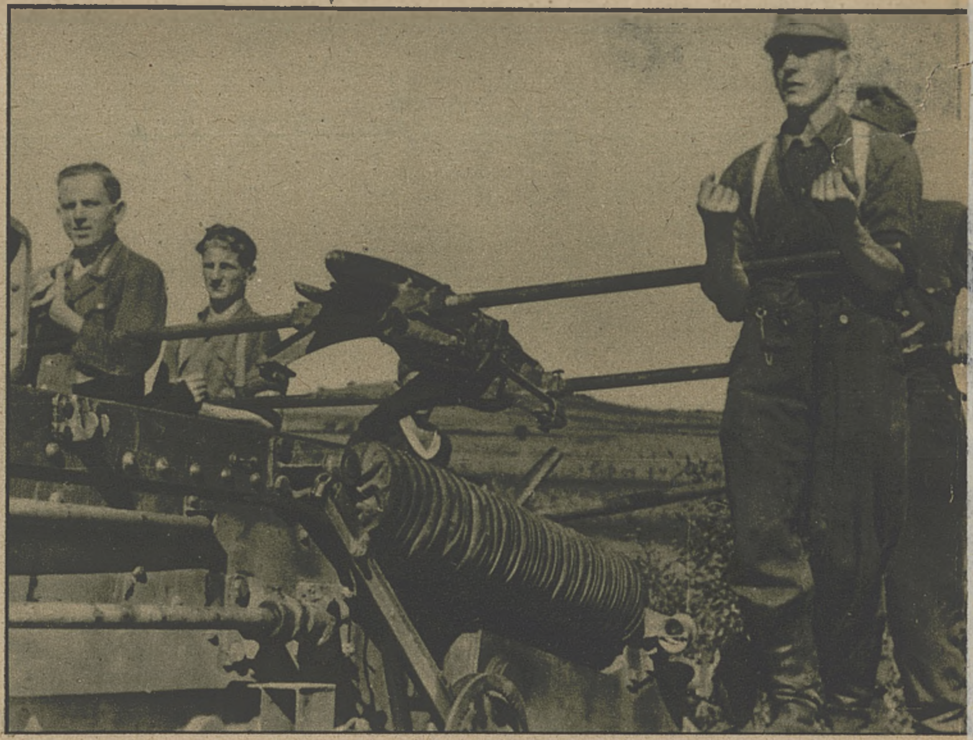
Gdy jesień ma się ku końcowi, spędzają pasterze swoje trzody z hal ku dolinom. W Alpach zdobi się bydło na upamiętnienie tego zdarzenia gałązkami jedliny i różnokolorowymi kwiatami z papieru. Pasterze i pasterki ubierają się w tym dniu odświętnie. Fot: Eurofot



Na północnym odcinku frontu wschodniego szalały w ubiegłym tygodniu zaciekłe walki. W Prusach Wschodnich, dzięki skutecznym niemieckim kontratakom ponieśli bolszewicy ciężkie straty w ludziach i materiale. Również w Kurlandii odparło gwałtowne ataki bolszewików. Na zdjęciu widzimy wojska niemieckie wkraczające do jednej z o d b i t y c h miejscowości.



Również w czołgach ponieśli bolszewicy w ostatnich tygodniach ciężkie straty. Na zdjęciu zniszczony czołg sowiecki.



Powyżej:
IMPONUJĄCY KOLOS
Co najmniej czterech mężczyzn musi dźwigać ten pocisk, by naładować ciężki moździerz.

Na lewo:
W SŁOWACJI
Po ukończeniu wojskowych operacyj mających na celu stłumienie ruchów powstańczych w Słowacji, inscenizowanych przez Moskwę — niemieckie i węgierskie wojska odbyły defiladę w jednym z miast słowackich.

Fot: ϟϟ-PK, Müller, Ahrens-TO, PK Schönfeldt, Hebenstreit-TO, Bauer-Leo-Scherl.

Na prawo:
W GŁÓWNEJ KWATERZE
Niemiecki generał-pułkownik omawia z dowódcą węgierskiej armii sytuację wojenną.





W WAROWNYM ZAMKU



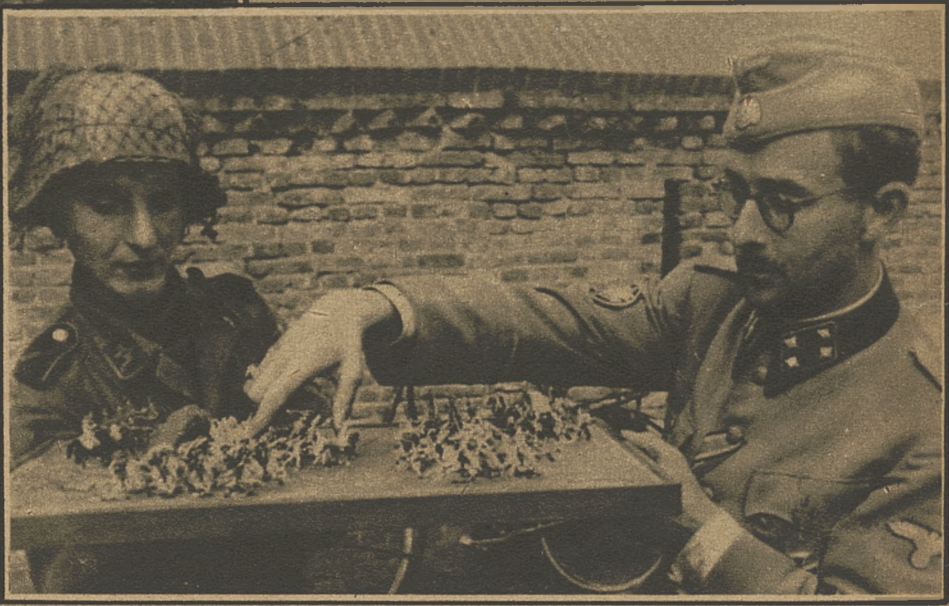
NAD DOLNYM RENEM

Na lewo:
Siedem wieków spoczywa na barkach tego starego zamczyska wznoszącego się dumnie nad dolnym Renem. Dziś szczęk oręża, świst kul i detonacje wybuchów — przerywają ciszę starych komnat, gdyż zamek stanowi centrum przyczółku mostowego bronionego zaciekle przez niemieckich grenadierów. Dookoła zamku rozstawiono liczne straże. Po skończonej służbie żołnierze przebywają bezpiecznie pod silnymi sklepieniami zamczyska dającymi dobrą ochronę przed bombami.



W koronach drzew i na balkonach wiszą jeszcze pstre spadochrony, przy pomocy których Anglicy zrzucali amunicję i żywność dla swej zniszczonej już obecnie dywizji spadochroniarzy.

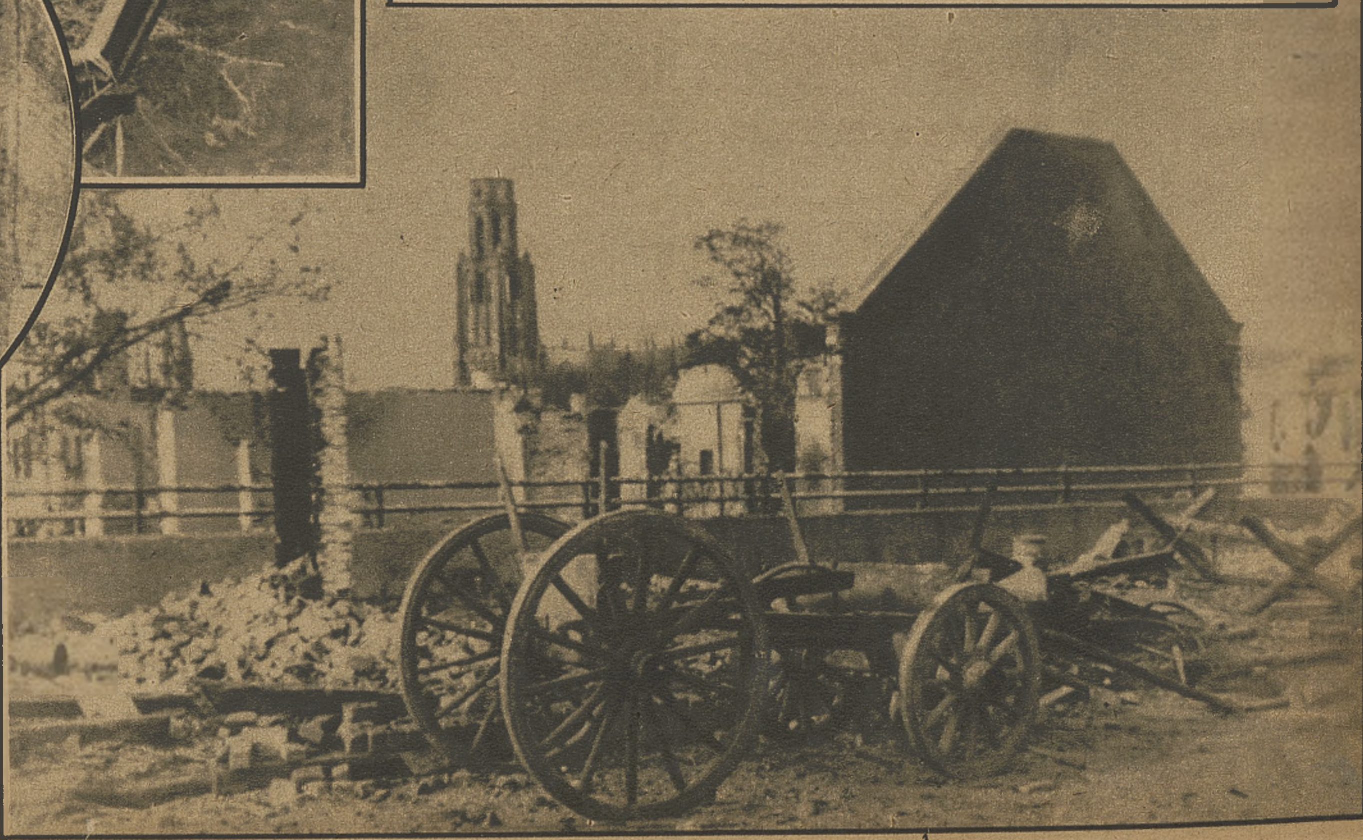




Fot: SS-PK. Apfel.

Po nieprzyjacielskim nalocie bombowym, uległy zniszczeniu komnaty, gdzie przechowywano starą broń, uniformy oraz małe modele scen bitewnych. Grenadierzy przenoszą uratowane od pożaru eksponaty do piwnic zamku.

Na prawo:
Dawna świetność zamku i w nim pulsujące życie zamarło. Szczątki i ruiny dokoła świadczą o sile brytyjskich ataków, zwycięsko odpartych przez niemieckich grenadierów.



AFGANISTAN









BAZAR W KABULU. Piękny i wielki niegdyś bazar w Kabulu, z którego część tylko dochowała się po wojnie angielsko-afgańskiej, jest terenem spotkań „sfer" kupieckich i miejscem, w którym próżniacy spędzają zawsze wolny czas.

Na lewo: **DWAJ MŁODZI AFGAŃCZYCY.** Dwaj mali obywatele Afganistanu zajadają smacznie łakocie, które otrzymali prawdopodobnie od fotografa, aby zdjęcie wyglądało naturalniej.



Afganistan jest jak zboże między dwoma kamieniami młyńskimi". Te słowa określają niedwuznacznie los tego kraju. Jako kraj przejściowy dla potężnych wojsk najezdniczych z północy i z zachodu, znany jest już w starożytności. Aleksander Wielki przemaszerował przez Afganistan udając się do Indyj, również i Dżingis-Chan spustoszył Afganistan ciągnąc ze swoimi konnymi hordami na południe. Dopiero za naszych czasów uspokoiło się w tym kraju, po wywalczeniu niepodległości przeciwko ostatnim przeciwnikom, Anglikom. W cieniu rewolucji roku 1929 stał Kreml, który wysłał do Kabulu, stolicy Afganistanu, swoje wojska. Moskwa ofiarowała wtedy pomoc królowi Amanullahowi, zaprowadzającemu kosztowne reformy europeizujące kraj, a zubożające i uciskające ludność. Król przejrzał wtedy zamiary moskiewskich władców i podziękował za pomoc, tak że Moskwa musiała odwołać swoje wojska.

Od tego czasu prowadził Afganistan na bliskim Wschodzie rozsądną politykę, związaną z przewidującymi zbrojeniami.

Afganistan jest państwem buforowym, w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Musi się przeciwstawić od północy sowieckiemu naciskowi, a od południowego Wschodu brytyjskiemu. Ostatnio przybyło niebezpieczeństwo od Zachodu, ze strony Iranu, gdzie usadowiły się Sowiety.

Afganistan ze swoim obszarem 720.000 km² jest w istocie dzikim krajem górskim, przez który przebiegają z północnego wschodu na południowy zachód góry Hindukusz, ze swoimi odgałęzieniami. Dosięgają one wysokości 7.720 m. Na północy i południowym wschodzie rozciągają się rozległe niziny i pustynie. Przeciętna wysokość Afganistanu dosięga 900 m, a stolica państwa Kabul leży na wysokości 2.000 m.

Wiatry monsunowe, przynoszące deszcz, nie dostają się do Afganistanu, dlatego też panuje tu klimat kontynentalny, który cechują ostre różnice temperatur. Następstwem tego jest ubóstwo wegetacji w tym górzystym kraju. Oblicze kraju z natury pustego i suchego jest tylko w Nurystanie odmienne od całości, gdyż znajdują się tutaj rozległe lasy. Ludność Afganistanu jest po większej części koczownicza. Jej charakter jest określony przez długie walki o wolność. Rolników spotyka się tylko w dolinach, gdzie od wieków uprawiają w niezmienny sposób swoje małe działki gruntu. Ich pokojowa praca nie uchroniła ich jednak od udziału w walkach, toteż wsie wyglądają jak potężne fortece ze swoimi wysokimi wieżami obronnymi i na zewnątrz całkowicie zamkniętymi podwórzami domostw.

W kole: **KONNICA AFGAŃSKA W AKCJI**
Na swych rączych rumakach Afganowie przebywają olbrzymie pustynne przestrzenie. Na krańcach pustyń wznoszą się nagie, skaliste góry.



Poniżej: **AFGANOWIE W BITWIE**
Jak hordy tatarskie wyglądają oddziały Afgańczyków w walce. Nie mają litości dla nieprzyjaciela, ale także i dla swoich, jeśli znaleźli się na ziemi.

U góry: **GLINIANA FORTECA**
Niegdyś było to centrum potężnego państwa, sięgającego od Isfahanu do Indu. Dzisiaj jest to tylko mała mieścina, uboga jak wszystkie miasta afgańskie.

Fot: Eurofot

NA PRZEPAŚCISTEJ ŚCIEŻCE GÓRSKIEJ
Koczownicze ludy afgańskie wędrują ze swoim dobytkiem po skalistych górskich ścieżkach w poszukiwaniu nowych siedlisk. Typowe życie nomadów.



Na lewo: **TANIEC WOJENNY**
W takt prymitywnej muzyki, składającej się przeważnie z wielkiego bębna, wykonują wojownicy dzikie pląsy i skoki.



U dołu: **PRZED WYMARSZEM**
Mieszkańcy gór afgańskich, zręczni jeźdźcy, są także dzielnymi wojownikami. W oczekiwaniu na rozkaz wyjazdu stoją Turkmeni (w czapkach futrzanych) i Uzbekowie (w turbanach).

POMOC DLA CHORYCH I RANNYCH

Opieka nad uchodźcami z Warszawy

Zaraz po zlikwidowaniu powstania w Warszawie władze zajęły się ludnością cywilną, która niewinnie stała się ofiarą bezsensownego przedsięwzięcia, wszczętego na rozkaz londyńskich i moskiewskich inicjatorów, a potem pozostawionego bez pomocy. Dziesiątki tysięcy ludzi, wyczerpanych i chorych z długiego pobytu w piwnicach, ranionych i poparzonych, udało się do obozu, gdzie znaleźli pomoc i opiekę.



W karetkach pogotowia przewozi się 1300 rannych Warszawiaków do szpitala w Milanowie.



Przygotowanie i wydzielanie lekarstw dla rannych.





Sanitariuszka ze szpitala w Pruszkowie opatruje ranę na twarzy. Nie zapomina się również o najmłodszych: Siostra Czerwonego Krzyża podaje małej Joli flaszeczkę z mleczkiem.



Również i na furmankach transportuje się chorych i rannych do szpitala.



Kapral niemiecki z punktu rozdzielczego wydziela jabłka osłabionym starcom.



Z monotonnego tła niezliczonych miasteczek i osiedli wybija się kilkadziesiąt miejscowości, w których znajdują się internatowe szkoły średnie: gimnazjum, szkoła rolnicza, czy inna melioracyjna. Uczniowie nadają tam tętno życiu małomiasteczkowemu, a nieśmiertelne kółko inteligencji (proboszcz, doktór, aptekarz, ewentualnie sędzia, adwokat i burmistrz) wydatnie powiększa się przez ciało profesorskie wraz z rodzinami.

Panna Fela zyskała zatem na przeniesieniu z poprzedniej posady z Modzyna. Tam była kompletna „dziura", wieś deskami zabita, a tu odczuwać się dawał w każdym razie powiew szerszego świata i cywilizacji. Kolej była niedaleko, elektryczne oświetlenie (do godziny 10 wieczór), trotuar na rynku, luksus jednym słowem. Do tego panna Fela trzymała niejako rękę na pulsie społeczeństwa i wiedziała pierwsza o wszystkich nowinach, bo któż może najprzód przeczytać gazetę, poznajomić się z treścią depeszy o czyimś ślubie, śmierci, czy przyjeździe, jeżeli nie kierowniczka urzędu pocztowego? Nie miała wprawdzie zbyt „kierowniczego" stanowiska, gdyż była siłą jedyną, a pod jej rozkazami znajdował się tylko głuchy na jedno ucho listonosz, jednak zawsze coś znaczyła.

Gdyby panna Fela żyła w ubiegłym stuleciu, nazywano by ją już starą panną. W dużym mieście przy pewnym dbaniu o siebie i odwiedzaniu kosmetycznych poradni uzyskałaby miano „młodej osoby". Konserwatywne miasteczko skłaniało się raczej ku pierwszemu niż drugiemu określeniu. W istocie panna Fela nigdy nie była śliczna i teraz, mając nieomal trzydziestkę, oczywiście także nie oślepiała urodą. Drobne zmarszczki na szyi i pod oczami wskazywały jasno na uciekającą młodość. Bystrzejszy obserwator mógłby jednak znaleźć i w niej pewien wdzięk: figurkę miała szczupłą i zgrabną, a czarne warkocze, oplecione w „koronę", harmonizowały ze śniadą cerą.

Mieszkała dotąd tylko w zapadłych wioskach, gdzie tak zwanego „towarzystwa" nie ma ani na lekarstwo. W flircie z chłopami nie umiałaby dopatrzeć się ani celu ani przyjemności. Prawdopodobnie piękna dziewczyna z poczty wzbudziłaby zainteresowanie, choćby przelotne, jakiegoś ziemianina, przejezdnego mierniczego, czy kogoś w ten deseń, ona jednak była typem dość przeciętnym. Dopiero na nowej posadzie, natura doszła do głosu. Panna Fela się zadurzyła i to w kim? — w Jasiu Kowalskim, uczniu najwyższej klasy tamtejszej szkoły średniej!

Szkoła była tam głównym klientem poczty. Co pierwszego, a często i w środku miesiąca, musiała kierowniczka poczty telefonować do powiatowego miasta o gotówkę, gdyż nie byłaby w stanie wypłacić większych sum, przekazywanych na pensje profesorów. Także i rodzice uczniów przysyłali z całego kraju opłaty za naukę i internat. A dochód poczty miała niemal tylko ze sprzedaży znaczków pocztowych. Świeżo przyjęci uczniowie kupowali uważnie markę na list i pieczołowicie naklejali ją na kopercie, wewnątrz której kryła się starannie wykaligrafowana epistoła do mamy z wiadomościami, że się pobili z kolegami, że można tu jeździć łódką i że profesor matematyki nieuczciwie przyczepił się do nich i niewinnie ich prześladuje. Średnie roczniki nie prowadziły prawie korespondencji, najstarsi za to wysyłali do domu listy w najrozmaitszych formach, a o jednolitej treści, a mianowicie, że im z nader ważnych powodów potrzeba dużo pieniędzy i to natychmiast. Dochodziły do tego kartki do znajomych z letnich obozów, oraz zaklejane jeszcze dodatkowo syndetikonem listy, adresowane zawsze na imię kobiecie. Często też zjawiał się po odbiór paczki rozradowany synek w asyście kilku kolegów, pragnących przy okazji otrzymania przez przyjaciela wiktuałów, skosztować czegoś lepszego od internackiego jadła.

Jasiu Kowalski należał do śmietanki szkoły. Regularnie nadchodziły na jego nazwisko znaczne kwoty z uwagą na odwrocie przekazu: „Do osobistej dyspozycji mego syna". Wśród niedbających o powierzchowność towarzyszy wyróżniał się elegancko skrojonym ubraniem, czystymi zawsze rękami i błyszczącym obuwiem. Jeżeli dodać dla uwypuklenia wizerunku czarną, bujną czuprynę, maleńki wąsik (profesorzy patrzyli przez palce: przecież to najwyższa klasa!), nad czerwonymi ustami, wysoki wzrost i czarujący głos o ciepłym zabarwieniu, obraz młodzieńca będzie chyba kompletny. Uczył się zaś dobrze i nigdy dyrekcja szkoły nie wysyłała do rodziny jego znormalizowanych listów: „Syn państwa jest złym uczniem i wykazuje postępy niedostateczne w nauce następujących przedmiotów". Nic dziwnego, że ów właśnie Jasio uchodził w miejscowości za okrutnego lwa, pożerającego na surowo serduszka dziewczęce, i że panny uśmiechały się doń zalotnie poza plecami swych mam, a te, z którymi tańczył dłużej na którejś ze szkolnych zabaw, że puszyły się jak pawie. Nie ma więc nic dziwnego w fakcie, że zrobił także wrażenie na pannie Feli...

Jesień na prowincji jest nudna. Błota i deszcze trzymają mieszkańców w domach, jedynie kółka preferansowe lub modniejsze brydżowe funkcjonują w długie wieczory. Pannę Felę do nich nie zapraszano. Dopiero gdy spadł śnieg i mróz ściął naprzód kałuże a potem i większe wody, życie towarzyskie zakwitło i to nawet bujniej niż zazwyczaj. Nowy profesor zamierzał wystawiać z uczniami w remizie strażackiej sztuki wielkiego repertuaru.

Na pierwszy ogień poszedł „Romeo i Julia" Szekspira. Rozmaite złożyły się na to powody. Sztuka była „klasyczna", żywa akcja nie pozwoli widzom zasnąć, miłość przemówi do serc osobom o usposobieniu subtelnym, zaś wielbiciele silnych sensacyj znajdą w niej wystarczającą porcję samobójstw i trupów. Oczywiście poczyniono pewne skrócenia, zaś dekoracje uproszczono do minimum, co było zresztą w duchu szekspirowskim.

Całe miasteczko śledziło z zainteresowaniem przygotowania. Aktorzy ćwiczyli w zespole i pojedyńczo. Ktokolwiek przechodząc obok mieszkania pani Barańskiej, posłyszał przez otwarty lufcik słowa —„Uciekaj! Matka się zbliża" — natychmiast się domyślał, że nie chodzi w danym wypadku o realne nieporozumienie rodzinne, lecz że gospodyni domu powtarza sobie rolę „Mamki". Na długo przed przedstawieniem miejscowi mali urwisze zamiast po prostu powiedzieć — „Felek, wsuń no Józkowi szturchańca" — szeptali z miną tajemniczą stylem sług Kapuletów: — „Oto nadciąga ten nikczemnik, któremu" itd., itd.

Opinią publiczną wstrząsnęła zatem wieść o chorobie Krysi, czyli Julii. Urocze lecz wątłe dziewczątko zapadło na ciężką grypę i rodzice obawiali się komplikacyj płucnych. Kierownictwo przyszłego przedstawienia szybko szukało następczyni. — Krawcowa Genia? Źle wymawia literę „r". — Żona profesora matematyki? Spodziewa się dziecka... — Panna Zuzia z gminy? Nie, przeciw niej protestuje ksiądz ze względów wychowawczych. Gdzież zatem szukać szczupłej brunetki z dobrą pamięcią, odrobiną choć wykształcenia i możliwie długimi włosami? — Zapomnieliśmy o kierowniczce poczty — wpada komuś do głowy — panna Fela odpowiada tym wymaganiom. Powstaje opozycja.

— Trochę za stara.

Jednak opozycja musiała ustąpić, gdyż innej kandydatki nie było.

Dla panny Feli nastały dni błogie. Ona, taka do tej pory niezauważana i traktowana nieco z góry przez „arystokrację" miasteczka, dostała rolę najsławniejszej kochanki świata! Jej ruchy, jej głos miały stworzyć publiczności obraz podziwianej przez setki lat i otoczonej glorią wielkości Julii! To samo wystarczyłoby do wprawienia panny Feli w stan oszołomienia. A do tego jeszcze Romeem, istotą ku której zwracać miała swe gorące słowa, był on, był Jasio Kowalski!!

Uczucie, czające się dotąd w głębi serca kierowniczki poczty, poczęło mocnieć i potężnieć pod wpływem prób. Urzędowanie, znajomi, listy od rodziny, i wszystkie inne dotychczasowe zainteresowania poszły w kąt. Panna Fela wertowała za to roczniki „Bluszczu" i żurnale, aby podchwycić najbardziej korzystny sposób podkreślenia swej urody. Ponieważ zaś zwierciadło mówiło jej, że obok plusów posiada też niestety i minusy, więc oszczędności jej zostały poważnie nadszarpnięte na kupno kremów i odżywczych maseczek, wedle działu „Rady dla czytelniczek". Albowiem odkąd istnieją kobiety, zawsze starają się być piękne dla kochanego mężczyzny.

Zresztą na próbach się nie kończyło. Jasio odprowadzał wieczorem pannę Felę do domu, a nawet znajdywał czas, aby zjawiać się w ciągu dnia na poczcie. Był nadzwyczaj grzeczny, słodki i uprzejmy. Nieśmiałe „czy podobam mu się?" zamieniło się w umyśle panny Feli na „on szaleje za mną" bo i jakiż inny mógłby być cel, owych odwiedzin, czułych pocałunków w rękę, tajemniczych niedomówień w rozmowie.

Wprawdzie chłopiec nie powiedział jej nigdy wprost, że ją kocha, jednak wrażliwa dusza panny wyczuwała tę treść w każdym niemal jego zdaniu.

— To młody niezepsuty mężczyzna — myślała. — Onieśmielam go widocznie, jednak nie mogę przecież tak po prostu rzucić mu się na szyję. I sama bym się ze wstydu spaliła, i dla niego byłoby to za silne. Muszę stworzyć odpowiednią atmosferę, w której moglibyśmy wyjawić swoje uczucia. Kiedyż ku temu będzie lepsza okazja, niż w czasie przedstawienia? Przecież my wtedy całym sercem wczuwać się będziemy w rolę zakochanych od pierwszego wejrzenia i związazanych miłością aż do śmierci. Role zmuszą nas do mówienia o tej naszej miłości i ośmielą nas w ten sposób do naszych wynurzeń. W powietrzu krążyć będzie Amor, sala przesycona będzie marzeniami widzów o bezkresnym szczęściu kochania, a w przerwie między aktami będziemy przecież razem...

Wedle projektu reżysera szyła miejscowa krawcowa szaty godne córki bogatego rodu włoskiego. Do przedstawienia i wymarzonej chwili było już tylko dwa dni, gdy miasteczkiem wstrząsnęła nowa wiadomość.

Rekonwalescentka Krysia postanowiła jednak grać.

— Właściwie powinna bardzo się oszczędzać — mówiła słodko jej mamusia, żona szkolnego lekarza — lecz jej tak bardzo zależy na udziale w przedstawieniu! Mąż mój jej ustąpił, tym bardziej, że Krysieńka wyjedzie zaraz potem na dłuższą kurację, więc to kwestia uprzyjemnienia jej ostatnich dni jej pobytu. Rolę umie, powtarzała ją sobie ciągle w czasie choroby. Naturalnie, że wszystko zależy od pani. Ale pani przecie jej chyba ustąpi. Przecie to jeszcze dziecko. Ona tak się na to cieszy, tak się tą kwestią przejmuje...

— Pani na pewne jej ustąpi — prosił też i Jasio Kowalski, który też do tej delegacji należał. — Pani ustąpi, choć niewątpliwie sama zagrałaby lepiej, ale pani ma przecież takie dobre serce.

W dwa dni potem publiczność w odświętnych strojach zapełniła tłumnie salę Straży Pożarnej. Spod kurtyny wyglądali raz wraz z dumą uczniowie, zamianowani pomocnikami reżysera. Po kilku dzwonkach i szamotaniu się z zacinającą kotarą ukazała się wreszcie oczom zebranych uliczka z Romeem i jego towarzyszami.

Akcja toczyła się szybko. Zmiany dekoracji nie trwały dłużej nad przyjętą normę tj. 1/2 godziny i już na scenie widniała wspaniała (!) komnata z tłumem (czytaj 8) tańczących. Zachwytom nie było miary: — Jak sprytnie przerobiła sobie Kazia stare letnie sukienki! — szepnęła rejentowa sąsiadce. Eks kapitan uśmiechał się na widok bagnetów z czasów wielkiej wojny, noszonych jako renesansowe sztylety.

— Tatusiu czy wtedy były już zegarki? — zapytał nieco za głośno synek profesora na widok złotej „Omegi" Jasia.

A jednak przedstawienie się podobało. W dalszych rzędach panowało żywe podniecenie. Jak ułożą się stosunki? Czy nastąpi zgoda wśród pokłóconych rodzin? Co się stanie z zakochaną parą?

— Co by ta zaś? Pożenią się i faktycznie na tym się skończy, żebyś pani wiedziała. To wszystko inne po to tylko wydziwiają, że przedstawienie potrwać musi parę godzin — twierdziła pani stolarzowa.

Felczer był innego zdania:

— A ja szanownej pani głowę daję, że się to skończy krwią! Nie wierzy pani, to się założwa. Ale jo pani z góry powiadam, że po mojemu będzie, bo to wypisali na afiszu. Jak wypiszą tragedia, to się, prosze pani, przedstawienie absolutnie bez trupków obejść nie może.

Inteligencja zajmująca krzesła bliżej sceny znała na ogół treść, więc przymykając oczy na chwiejące się dekoracje, i żarówki „Osram" użyte na oświetlenie włoskich pałaców za czasów poprzedzających odkrycie Ameryki, obserwowała jedynie grę bohaterów. Jasio grał tak, jak oczekiwano: był gwałtownym, namiętnym paniczem. Ale i Krysię ledwie poznać mogli dawni znajomi. Cicha i małomówna w życiu codziennym dziewczynka, przykuwała teraz uwagę. Julia w jej wykonaniu odbiegała daleko od kreacyj zawodowych aktorek, brakowało jej właściwego Włoszkom temperamentu... Zapewne... Za to miało się przed oczyma zakochane dziewczę słowiańskie, i takie właśnie ujęcie trafiało wprost w serca widzów.

O tak, grała dobrze. Przyznawała to nawet panna Fela, stojąca poza kulisami. Z jakimże radosnym zdziwieniem wyznaje ta mała księżycowi, że kocha pięknego młodzieńca! A w rozmowie z Romeem czysty jej głos dźwięczy na przemian szczęściem dziecka i rozmarzeniem świadomej swych kras kobiety. Oczy wszystkich zwrócone są na białą, zwiewną postać w górze. Panna Fela skrzywiła z goryczą usta. Ona tego wdzięku roli Julii nadać by nie potrafiła. Na to trzeba być Krysią, podlotkiem, niemal w wieku legendarnej, aby grać bohaterkę, jednocześnie



kokieteryjną i skromną, kochającą i wstydliwą, i aby stworzyć widzom złudzenie, że to jest pierwsza i jedyna miłość młodziutkiej dziewczyny.

Akt wreszcie się skończył. Panna Fela cofnęła się za niepotrzebne już dekoracje i z zawiścią myślała o Krysi, której nagła decyzja rozbiła cały jej plan. Wymarzona wymiana zwierzeń miała się odbyć właśnie teraz, w tej chwili, lecz w zmienionych warunkach trudno będzie zacząć z Jasiem tę ważną rozmowę. Należało go znaleźć pomimo wszystko, bo później będzie mieć jeszcze mniej odwagi. Nagle posłyszała za cienkim przepierzeniem jego miły głos. Mówił z jakimś kolegą.

— Czy nie ma tu gdzie poczciarki?

— Nie widać . . .

— Tej baby mam już dość!

— Dziwię ci się, żeś jej w ogóle nadskakiwał.

— No cóż! Wiesz przecie, jak u nas jest z pocztą. Każdy list przechodzi przez sto rąk, wędruje od tercjana do dyrektora, od dyrektora do kierownika internatu, potem do wiceseniora, i do dyżurnego sali, a każdy ciekaw wiedzieć, skąd ów list, o czym i od kogo. Czytają pod światło, starają się rozklejać nad parą. Chciałem mieć pewność, że mi nikt do mej korespondencji nosa wciskać nie będzie, więc chciałem zrobić sobie z tej mumii Feli, pewnego rodzaju skrzynkę pocztową. Ale teraz z tym koniec. Jest dziś wściekła. Pewno o rolę jej chodzi. No, ale ja wolę grać z Krysią. Słyszałeś, jak nam klaskali?

— Krysia jednak jedzie do Zakopanego.

— No tak. Ale po maturze i ja tam jadę, więc się spotkamy. Z Krysi takie miłe stworzenie . . .

Cichnące kroki . . . Odeszli.

— — — — — — — — — —

W następnym miesiącu pisma poświęcone pielęgnacji urody i modom kobiecym straciły jedną prenumeratorkę z prowincji natomiast tamtejszy zakon tercjarski pozyskał nową, gorliwą członkinię.

Jaskrawe stroje (brunetkom, jak wiadomo do twarzy jest w kolorach czerwonym i żółtym) posłała panna Fela siostrzenicom. Stała się ostra i służbista. Lodowate są jej słowa i ubiera się ponuro. Gdy nowi ludzie osiedlają się w miasteczku, z powątpiewaniem słuchają opowiadania tubylców, że niedawno jeszcze, ot przed rokiem czy dwoma, miała grać rolę Julii na szkolnym przedstawieniu i że wtedy była wesoła i miła.

Kiedy jednak przychodzą na pannę Felę czarne chwile, wówczas puste i dalekie wydają się jej obietnice Zbawiciela oraz przypowieści ewangieliczne. Wyjmuje rękopis „Romea i Julii" i czytając rozmowy bohaterów, płacze gorzko godzinami . . .

— Czy może być coś smutniejszego nad nieszczęsną dolę Romea i Julii, pyta na końcu sztuki stary Szekspir.

— O tak! W małych miasteczkach na przykład zdarzają się także tragedie w sercach ludzkich. Tak efektownych zgonów, jakie widzimy w dramatach, tam nie ma, trafiają się jedynie pojedyncze samobójstwa przez otrucie esencją octową lub powieszenie. Najczęściej kończy się po prostu na zwyczajnej histerii. Ale zaiste smutniejszą dolą jest żyć z myślą, że jedyna miłość została wyszydzona, niż umrzeć w mniemaniu, że jedyna miłość trwać będzie aż poza grób.



Erik Bertelsen

FLAGA

Przełożył z duńskiego T. Czabański

Kreiberg siedział w hotelowym pokoju i nudził się. Było sobotnie popołudnie. Przez cały tydzień biegał z ciężkimi walizami, pełnymi próbek i wzorów, od kupca do kupca — zarobił jednak tyle, że mógłby pozwolić sobie na przyjemne spędzenie niedzieli. Gdyby myśli o rodzinie nie mąciły mu przyjemności.

W ogóle — cóż on prowadził za życie! Ciągłe podróże, noclegi w hotelach i zajazdach, wieczna samotność między obcymi ludźmi, a kiedy od czasu do czasu wpadał do domu — zmęczona i niezadowolona żona, której mrukliwość coraz bardziej utwierdzała go w przekonaniu, że oni nie nadają się do siebie i że tylko dzieci trzymają ich razem.

Tak, dzieci — one na pewno tęsknią za nim. Spojrzał na zegarek: mógł jeszcze zdążyć na ostatni pociąg do domu. I chociaż najeździł się w ostatnim czasie do przesytu, postanowił pojechać.

Natychmiast zatelefonował do jednego z sąsiadów, prosząc go o zawiadomienie swej żony o przyjeździe.

Idąc na dworzec, zakupił kilka drobnostek dla dzieci. Ale kiedy siedział w pokoju, przyszło mu na myśl, czy nie wystarczyłaby paczka cukierków. Żona na pewno będzie mu wymawiać, że wydaje pieniądze na bezużyteczne zabawki. Tak, Karen na pewno będzie taka mrukliwa, jak zawsze — posępna i w złym humorze, bo pracowała przecież od rana do wieczora. W domu musiało być wszystko w największym porządku, to było wprost chorobliwe ze strony Karen. On wolałby raczej nieco nieładu, byleby tylko żona witała go radosnym uśmiechem.

Nie to musi, się skończyć. Wiedział już, po co właściwie jedzie do domu; musi otwarcie powiedzieć żonie że byłoby najlepiej, gdyby rozeszli się, zanim dzieci podrosną.

Siedmioletniego Jörgena zatrzymałby najchętniej przy sobie, ale gdyby to było życzeniem żony, zabrałby i dwoje młodszych. Najważniejsze, by skończył się raz ten nienormalny stan.

A potem myślał o Lili. Była to młoda panienka, którą poznał podczas jednej z rozlicznych podróży. Spotykali się kilkakrotnie i wiedział, że się jej podoba. Lili była całkiem inna, niż Karen: pogodna, pełna życia.

Z każdą chwilą rosła jego niechęć do Karen, która ponosiła przecież winę za ostatnie pozbawione szczęścia lata; a kiedy wreszcie pociąg zatrzymał się na stacji — wiedział już z całą pewnością, jaką niedobrą ma żonę. Nie oczekiwała go na peronie, ani nie przysłała po niego dzieci, choć nie było jeszcze zbyt późno. On był dla niej niczym. Cały rok, w upał i w mróz, podczas deszczu i podczas burzy biegał od sklepu do sklepu z ciężkimi kuframi, zarabiał na rodzinę, ale w domu nikt nie potrafił jego pracy ocenić, ani uznać.

Pełen gorzkich myśli szedł pospiesznie poprzez ulice — i nagle stanął.

W ogródku przed jego domem wisiała flaga na pół masztu. Uczuł, że blednie. Cóż się stało? Czyżby stracił Karen? A może Jörgen wpadł pod samochód?

Lęk pchał go naprzód, począł biegnąć, w kilku skokach pokonał schody, gwałtownym ruchem otworzył drzwi do kuchni. Zobaczył Karen kąpiącą Jörgena. Patrzyli na niego w niemym zdumieniu.

— Cóż się stało? — wyjąkał. — Gdzie są Agnes i Viggo?

Karen spoglądała na niego z obawą.

— Czyś ty oszalał? Agnes i Viggo leżą już w łóżkach.

— Ale cóż oznacza flaga? — Flaga!

— Flaga? — powtórzyła. — Co za flaga?

Jörgen zaczął płakać.

— To tylko dlatego, że-że-że myśleliśmy, że ojciec — przyjedzie do — domu. Myśmy się — się cieszyli i — i — i — wywiesiliśmy flagę.

Karen przeszła do pokoju, którego okna wychodziły na ogród. Kiedy wróciła, odezwała się ostro do Jörgena:

— Osioł jesteś! Wywieszasz flagę, nic mi o tym nie mówiąc, i do tego na pół masztu.

— No, dobrze już ,dobrze — pojednawczo powiedział Kreiberg — pójdę flagę ściągnąć. I pamiętaj, Jörgen, nie czyń tego więcej! Flaga na pół masztu oznacza żałobę.

Kreiberg zabawił dość długo w ogrodzie, kiedy wrócił, leżał i Jörgen w łóżku. Karen podeszła do męża i położyła mu dłoń na ramieniu.

— Nie gniewaj się, ale nie miałam czasu i spuściłam chłopca z oczu. Poza tym, szykowałam kolację, kąpałam dzieci. Chciałam, by one już spały, kiedy ty przyjedziesz. Przecież i nam należy się spokojny wieczór.

— Tak, tak, Karen, rozumiem.

Usiedli przy stole i jedli. Karen stawiała najrozmaitsze pytania, a on odpowiadał krótko i jakby bezmyślnie. Naraz spojrzał jej prosto w oczy:

— Nie, Karen, to musi się skończyć!

— Cóż masz na myśli? — zapytała przestraszona.

— Nie mogę już tego znieść. Stale w drodze, stale sam. Ty marzyłaś przecież zawsze o własnym sklepie. Zarobiłem w ostatnim czasie tyle, że możemy sobie na to pozwolić. I będziemy zawsze razem.

Nie odparła nic. Ale oczy jej zabłysły łzami, silnie uścisnęła jego dłoń.

I to starczyło mu za odpowiedź . . .

TELEPATIA, SNY I FIGLE PODŚWIADOMOŚCI

NAPISAŁ HAZET

W jasnych getrach kawowego koloru, zawsze wytworny i elegancki mecenas nałożył monokl.

— Cóż za prześliczna osoba — wykrzyknął, wpatrując się z zachwytem w duży olejny portret młodziutkiej panienki z blond lokami po obu stronach twarzy i w strojnej dekoltowanej balowej sukni z turniurą.

I spytał się pani domu:

— Któż to taki?

— Babka mojego męża, hrabina K. A zdarzył się jej nadzwyczajny wypadek...

— Zapewne została porwana przez jakiegoś oszalałego z miłości Bohuna...

— Gorzej. Znacznie gorzej. Umarła w dziewictwie w szesnastym roku życia...

— Żartuje pani! Więc skąd babka?

— A babka, autentyczna babka, gdyż właśnie z tą śmiercią zaczyna się nadzwyczajność jej historii. W parę dni po pogrzebie matka wyśniła, że córka woła na nią spod ziemi: — Mamo! Ratuj mnie! Przez trzy noce sen uporczywie powraca, a gdy zdesperowany narzeczony zmarłej, hrabia K. oznajmił, że jemu również wyśniło się podobne wołanie o pomoc, zadecydowano otworzyć familijny grobowiec. Niezwykły widok przedstawił się oczom wszystkich. Piękna panna — pochowana w letargu — obudziła się, wydostała się z trumny i na wpół żywa z wyczerpania siedziała na kamiennych schodach prowadzących na cmentarz...

— No i wyszła zamąż?

— Wyszła. A znałam ją, gdyż dożyła sędziwego wieku i nieraz opowiadała mi, że całą siłą woli przywoływała myślą matkę i narzeczonego...

— Telepatia!

— Bezwątpienia. Zaś hrabia K. późniejszy jej mąż, tak był przejęty tym zdarzeniem, że przez całe życie pracował nad aparatem swego wynalazku, aparatem dającym możność ludziom pochowanym w letargu dać znać, za pomocą alarmowych dzwonków, że żyją.

— Coś o tym słyszałem. Wszak ten aparat nazywa się „Karnica" lecz niestety okazał się w praktyce nie do użycia. Alarmowe dzwonki rozlegały się mniej więcej z każdego grobu...

— Okropność! — przysłoniła dłonią oczy panna Zosia. — Czyżby aż tylu nieboszczyków chowano w letargu?

— Bynajmniej. Po prostu fałszywe alarmy spowodowane były przez gazy rozkładowe...

— Brrrr — otrząsnął się z niesmakiem siwogłowy pan radca. — Skończcież państwo te makabryczne opowieści. A że sny sprawdzają się nieraz wiem z osobistego doświadczenia...

— Tak, tak — kiwał głową. — W moim wypadku figuruje również grobowiec, lecz jest raczej wesołym epizodem.

I zamilkł na chwilę dla efektu.

— Wiadomo jest państwu, jak wielkim jestem amatorem wyścigów konnych, Nie opuszczam ani jednego biegu, a okienka totalizatora znają mnie dobrze. Otóż śni mi się pewnej nocy, że nagrodę prezydenta wygrywa koń pod amazonką we wdowim kwefie na głowie i z powiewającym za nią długim krepowym welonem. Ta żałobna dama wypadła, ni stąd ni zowąd, z dużego grobowca na cmentarzu i podcinając konia szpicrulą, pierwsza przybyła do mety. Studiuję program. Klacz Artemis, zapisana do tego biegu, plącze mi się uparcie po głowie. Artemis, Artemis coś sobie przypominam, lecz dla pewności zaglądam do Encyklopedii i czytam: „Artemis, królowa Halicarnassu, wystawiła swemu małżonkowi — Mausole — wspaniały grobowiec, który jest jednym z siedmiu cudów świata". Zamknąłem księgę. Byłem już pewien swego, no i wygrałem pokaźną sumę...

— A mnie się zdarzył wręcz przeciwny wypadek — uśmiechnęła się pani Rena prześlicznymi ząbkami. — Wasze sny się sprawdzały a mój, sen przystosował się w niezwykle śmieszny sposób do warunków zewnętrznych. Przez kilka godzin nie mogłam się obudzić pomimo piekielnego hałasu, chociaż zwykle śpię bardzo czujnie i byle szmer każe mi oczy otwierać...

Przypudrowała śliczny nosek i mówiła dalej:

— A ten sen mnie nawiedził w parę miesięcy po ślubie. Mój mąż wychodził z domu tego wieczoru, gdyż miał zjazd koleżeński, więc ściskając mnie czule na pożegnanie, rzekł:

— Po raz pierwszy od dnia naszego ślubu spędzisz wieczór samotnie, lecz błagam cię nie niepokój się duszko. Takie koleżeńskie bibki przeciągają się nieraz do świtu. Rozumiesz... tego... Pije się dużo przy sutej kolacji, języki się rozwiązują, wspomina się z pobłażliwym uśmiechem dawne sztubackie czasy. Psie figle płatane profesorom...

I obcałowując moje ręce mówił dalej:

— Nie myśl, kochanie, że uważam takie koleżeńskie zjazdy za coś przyjemnego lub zabawnego. Przeciwnie. Chętnie pozostałbym z tobą w domu tym bardziej, że służąca pojechała na wieś do chorej matki — lecz nie wypada mi lekceważyć sobie dawnych kolegów...

A z progu jeszcze zapytał:

— Czy nie będziesz się bała sama jedna w mieszkaniu?

— Skąd znowu! Zawsze mnie traktujesz jak głupią małą dziewczynkę...

— Wyszedł, no i wkrótce potem położyłam się na sofie z książką w ręku i czytałam dosyć długo. A kiedy zasnęłam, nie pamiętam.

— I oto śni mi się, że dzwonki elektryczne popsuły się w całym mieszkaniu, więc natychmiast rozkazałam stróżowi sprowadzić elektrotechnika. Przyszedł. Był trochę brudny, trochę oberwany, ale sumienny. Od razu zrzucił z siebie marynarkę, zakasał rękawy koszuli i zabrał się do roboty. Z drabiną pod pachą chodził po całym mieszkaniu i reperował kontakty. — Dzyń, dzyń, dzyń, dzyńńń — dzwonił co chwila a próbę. W końcu orzekł — „gotowe" — więc uiściłam należność i poszedł sobie.

— Po chwili — dzyń, dzyń, dzyńńń — powrócił od strony kuchni.

— Uniżenie przepraszam — szurał nogami — lecz zapomniałem w salonie swą torbę z narzędziami.

Odnalazł torbę, ukłonił się i poszedł.

— I znowu — dzyń, dzyń, dzyńńń — dzyń, dzyń, dzyń, dzyńńń — od frontu, więc pośpieszyłam otworzyć.

Znowu elektrotechnik.

— Wybaczy pani — sumitował się pokornie — zapomniałem czapkę...

Odnalazł czapkę na wieszaku w przedpokoju i poszedł sobie.

Po paru minutach znowu rozległ się uporczywy dzwonek od strony kuchni.

— Czyżby jeszcze elektrotechnik — westchnęłam.

Istotnie, lecz tym razem nie odejmował palca od guzika. Dzwonił jak wściekły.

Przywitałam go z pewną irytacją:

— Ależ gapa z pana! Cóż pan tam jeszcze zapomniał?

Uśmiechnął się głupkowato.

— Właściwie... tego... to nic nie zapomniałem, ale dzwonię, gdyż chcę się przekonać czy dobrze się wywiązałem z zadania. Zapłatę wziąłem, lecz muszę się pani przyznać, że ja wcale nie jestem zawodowym elektrotechnikiem, tylko amatorem...

I przyciskając swe posmolone dłonie do serca, bełkotał:

— Znam panią z widzenia, więc pod pretekstem reperacji dzwonków chciałem się dostać do mieszkania, by wyznać jej swe uwielbienie...

Oburzyłam się.

— Proszę się stąd natychmiast wynosić — wykrzyknęłam i zatrzasnęłam mu drzwi przed nosem.

Lecz nie dał za wygraną. Stał uparcie za drzwiami i — dzyń, dzyn, dzyńńń — dzyń, dzyń, dzyńńń — dzwonił bez chwili wytchnienia.

— A dzwoń sobie, idioto, chociażby do śmierci — zawzięłam się — nie głupiam otwierać...

I przyznaję, że bałam się trochę natarczywości tego intruza. Czułam się jak mysz w pułapce, jak w oblężeniu...

Dopiero oślepiające promienie słońca pogodnego majowego poranku zbudziły mnie.

— Dzyń, dzyń, dzyńńń — dzyń, dzyń dzyńńń — usiadłam na sofie.

— Czyżby jeszcze nie odszedł — pomyślałam, lecz po chwili oprzytomniałam.

— Sen...

Ale dzwonienie nie było snem. Było całkiem realne. Dzyń, dzyń, dzyńńń — wierciło mi w uszach jak świdrem.

— O Boże! Więc to mój mąż tak dzwoni! Zapomniał najwidoczniej klucza od zatrzasku...

Skoczyłam otworzyć.

Przywitał mnie jak psa w kręglach.

— Od czterech godzin dodzwonić się do mieszkania nie mogę. Zachodziłem od frontu, zachodziłem od kuchni. Najczarniejsze myśli przychodziły mi do głowy. Miałem ochotę drzwi wywalić. Czyż to tak można? Udaje, że śpi jak ptaszątko na gałęzi, a jak się uwali na sofę, to i armata by jej nie zbudziła...

I nawet się nie roześmiał gdym mu opowiedziała swój sen.

Rozmowa z duszą

Jak to się dzieje trudno wiedzieć, zbadać
Raptem bat pragnień człowieka nie smaga
I zewsząd smutek zaczyna się skradać —
Ucieka radość, odchodzi odwaga,
Brakuje woli żeby stawić czoło
Życiu — i sił by dalej się przedzierać
Przez szare i puste dni — błędne koło,
Lęku co krzyczał. Żyć! Żyć! Nie umierać!
Jeszcze coś rwie się, jeszcze coś wybucha,
Coś się szamocze w człowieku i biada,
A potem, potem czegoś człowiek słucha,
A jeszcze potem z własną duszą gada.

Burzą się wartkie jak potok pytania,
Kroplą się ciężko skargi załzawione,
Grzech się przed grzechem pierwszy wynijść wzbrania,
O pomoc żebrzą chęci niespełnione.
A dusza słucha, odpowiada, radzi,
Koi i czyni tamto wszystko małe,
Chociaż się tego tak dużo gromadzi,
Chociaż to nieraz ludzkie życie całe.

I niby ślepiec co od urodzenia
Nie widział słońca, zieleni i nieba —
I nagle przejrzał — cudzie zachwycenia —
Czy taką radość opisywać trzeba?
Tak człowiek, który znalazł wreszcie siebie
W głębi swej duszy, choć to przyszło z trudem,
Jak ślepiec uleczony wzrokiem w niebie
Tonie — i cieszy i cieszy się cudem.

M. Kralkowski

ABECADŁO RZECZY RZADKICH I NIEZWYKŁYCH

Auto liczy sobie dopiero 60 lat istnienia, a więc jego istnienie nie dosięgło jeszcze wieku ludzkiego. Pierwsze auto wypuściła firma Benz w roku 1884.

Bawełna jako surowiec do wyrobu papieru użyta została w roku 1831 we Francji, ponieważ podatek na papier gazetowy był zbyt wysoki.

Pierwsza chryzantema przywieziona została z Japonii do Europy w r. 1789.



60-LECIE ŚMIERCI ALFREDA BREHMA (11 LISTOPADA)

Przed sześćdziesięciu laty zmarł zoolog i badacz przyrody Alfred Brehm, który przez swoje trzynastotomowe ilustrowane dzieło „Życie zwierząt" stworzył jak gdyby „biblię zwierzęcą" dla narodu niemieckiego. Dzieło to zostało przetłumaczone na wszystkie języki świata i rozsławiło imię jego twórcy po całej kuli ziemskiej. Epokowe rezultaty jego podróży do różnych krajów europejskich, do Afryki i Azji znalazły swój wyraz w licznych książkach i wykładach. Zasłużył się również jako kierownik Ogrodu Zoologicznego w Hamburgu i dyrektor Starego Akwarium w Berlinie, które zostało założone przez niego w r. 1869.

Fot. Scherl

Największą ilością dzieci mógł się poszczycić sławny władca Maroko, Mulai Ismail. Jego liczne żony urodziły mu 548 synów i 340 córek.

Wielokrotne echo powtarza jedyny tego rodzaju zabytek na całej kuli ziemskiej, zamek Simonetta (koło Mediolanu), gdzie wystrzał z pistoletu powtarza się 40 razy.

Gazeta z literami fosforowymi, którą można czytać w ciemności, powstała w Hiszpanii. Miała ona tytuł „Luminaria".

Gazeta z gumy „La Nająde" mogła być czytana także w kąpieli.

Pierwsza hipoteka, o której wiemy, założona została przed więcej jak 4 tysiącami lat w Babilonii. Jeden z „aktów" — w postaci cegiełki z wyrytymi na niej znakami klinowymi — dochował się do naszych czasów.

Indium, mało znany i rzadko występujący pierwiastek chemiczny, metal koloru srebrno białego, odkryty został w roku 1863.

Rozpowszechnienie jedwabnictwa w Europie zawdzięczamy Arabom, którzy w zdobytych przez siebie krajach zaszczepili hodowlę jedwabnika. Pierwsza fabryka jedwabiu sztucznego, produkowanego z celulozy, powstała w r. 1891.

Najstarszym stowarzyszeniem kawalerów był bezsprzecznie związek kawalerów w Waldshut powstały w r. 1468.

Gazeta pisana na lodzie. Tym jedynym na świecie materiałem pisarskim poszczycić się mogła gazeta „drukowana" na lodzie jeziora bodeńskiego jako „Bodenseezeitung" dnia 2 lutego 1880 r.

Pierwsza fabryka margaryny powstała w r. 1871.

Najstarsze życzenia noworoczne pochodzą z r. 1466. Na wstędze trzymanej przez aniołka była napisana formuła życzeniowa.

Największy zbiór owadów na świecie mieści się w Berlinie-Dahlem. Zawiera on 450 tysięcy gatunków owadów.

Pierwszy mecz piłki nożnej odbył się we Florencji w r. 1529.

Jedyne w swoim rodzaju rekordy: Mr. Hart we Florydzie połknął w ciągu jednej godziny 168 bananów; Mr. Sok w Cleveland wypił w ciągu 12 godzin 85 filiżanek kawy ziarnistej; Mr. Rise w Nowym Jorku przebył schody drapacza chmur Woolworth bez odpoczynku osiemnaście razy tam i z powrotem; Jonan Corship z Ohio wygłosił w pewnym kościele kazanie trwające 91 godzin na temat „kochajcie swoich nieprzyjaciół jak siebie samych".

Najmniejszy serwis porcelanowy sporządziła przed kilku laty Fabryka Miśnieńskiej Manufaktury Porcelanowej. Dwa lata trwała żmudna praca wykonania 142 części tego serwisu.

Nazwa Tatar zjawia się po raz pierwszy w tym brzmieniu na napisie w wieku VIII po Chr. Napis był wyryty w kamieniu w języku staroturecki. Znaleziono go nad rzeką Orchonem w Mongolii. Był to lud mongolski zamieszkały w okolicy jeziora Bajkalskiego.

Na Korei istnieje miasto o najkrótszej nazwie. Nazywa się U.

Pierwszą wypożyczalnię książek założyli w Paryżu handlarze rękopisów już w r. 1332. Były to oczywiście książki pisane, nie drukowane.

Ybbs — jest to miasto w Niemczech południowych. Jedyne miasto w Niemczech, które zaczyna się od Y.

Największy zegar świata znajduje się na lotnisku w Durban w Afryce. Ten olbrzym jest położony poziomo na ziemi. Ma średnicę 70 metrów.

Nie każde źródło na świecie może się poszczycić taką ilością wody jak wypływające z gór Harcu koło Herzberg. Daje ono cztery tysiące liter wody w sekundzie i wypływa od razu jako rzeka o szerokości 4 metrów.

Żaba latająca nie jest wcale wymysłem chorej wyobraźni. Żyje ona rzeczywiście na wyspach Archipelagu Malajskiego, na drzewach. Palce u nóg ma bardzo długie, połączone błonami, które w skoku z drzewa na ziemię rozpostarte szeroko tworzą jak gdyby spadochron i pozwalają żabie powoli opadać na ziemię.

PRZYPOMNIENIE



WRÓG RELIGII

Fotografia przedstawia żołnierzy czerwonej armii wynoszących święte stare ikony i p o s ą g i przed zburzeniem klasztoru Simonowa.

(z IKC. Nr 46 20. II. 1930 r.).

PCHŁA „W ŚWIETLE NAUKI"

Znany badacz zajmujący się badaniem robactwa, pasorzytów — ludzkich i zwierzęcych, wykazał na kilka lat przed wojną w swojej pracy naukowej, że niestety o wymarciu pchły nie może być mowy. Co prawda zdziesiątkowane zostało wydatnie pchle potomstwo, a zasługę tego przypisać należy elektrycznym pochłaniaczom i zmniejszeniu ilości bielizny damskiej. O tym ostatnim dałoby się jeszcze coś powiedzieć, ale dajmy sobie na razie spokój. Faktem jest stwierdzonym, że mimo wszystko pchła nie wymarła.

Istnieje nie tylko jeden gatunek pchły, jakby sądzili laicy. Mamy na świecie ni mniej ni więcej tylko osiemset różnych gatunków pcheł. Trzeba być więc wybitnym znawcą pcheł, jeśli chce się rozeznać w takiej ilości pchlich rodzajów. W Europie żyje 140 gatunków. Nie wszystkie z nich są amatorami ludzkiej krwi. Są pchły ludzkie, psie, szczurze i pchły przenoszące zarazę.

Dziesięć gatunków pcheł obdarza nas ludzi swoim niepożądanym sąsiedztwem i niezbyt przyjemną formą zaznaczania swojej obecności.

Pozostańmy na razie przy czterech gatunkach, które nam się wydają najważniejsze. Zadano sobie bowiem trudu — rzeczywiście — można to nazwać trudem, bo „obcowanie" z tymi insektami nie może być przyjemnością — i zebrano pokaźną ilość, aby przeprowadzić badania nad ich życiem. Było ich mianowicie ogółem 2036, a z tego 1071, a więc 52%, należało do gatunku psiego.

Pchły są stworzeniami nadzwyczaj wytrzymałymi. Muszą przynajmniej raz dziennie mieć swój krwawy pokarm, gdy się sposobność nadarza, i wypijają wtedy pół milimetra sześciennego krwi. Ale gdy warunki życiowe układają się dla nich niepomyślnie, mogą głodować nawet przez dłuższy czas. Jedna z nich wytrzymała 125 dni bez jedzenia, a był taki okaz, który obszedł się 18 miesięcy bez pokarmu. Wtedy przewyższają znacznie swój przeciętny czas życia. Pchły żyjące w dobrobycie, a nawet w zwyczajnych warunkach dosytu są już po 3—4 miesiącach starcami.

Pchła psia żyje dłużej niż ludzka, a mianowicie około 3/4 roku. Może dożyć nawet sędziwego wieku, jeśli żyje cnotliwie, izolowana od odmiennej płci. Wtedy może ucieszyć swojego „hodowcę" pięcioletnim życiem, w innych warunkach półtorarocznym. W naturalnych warunkach dążą do tego jak najspieszniej, aby zawrzeć związek małżeński i płodzić potomstwo. W półtorej godziny po wylęgnięciu się poczwarki już prowadzi młoda pchełka samodzielny żywot.

Młodzież pchlej rasy wymaga dużo ciepła. Poczwarki rozwijają się najlepiej w temperaturze od 18 do 27 stopni Celsiusza i przy 70—90 procentach relatywnej wilgotności.

Przeciętny czas wylęgania trwa 4—6 tygodni u pchły ludzkiej, 2—3 tygodni u psiej pchły. Potem zaczyna się jej normalny żywot, który znamy już dobrze, odczuwając go na własnej skórze. Pchła szukając swej ofiary przebywa duże odległości skacząc. Są to skoki o rozmiarach olbrzymich, bo dosięgają długości 30—50 cm i 10 cm wysokości. Trzeba pamiętać, że pchła ma długość 2—4 mm. Człowiek przy swojej długości i wadze musiałby, gdyby chciał dorównać pchle, skoczyć na odległość 255—450 metrów i na wysokość 85 m. A jeślibyśmy chcieli przeliczyć ten wyczyn na wielkość konia . . . ale dajmy spokój tym obliczeniom, doszlibyśmy bowiem do absurdu. Nie zależy nam przecież na tym, aby widzieć w pchle więcej niż jest w rzeczywistości. Wszyscy jesteśmy zgodni z tym, że pchła — podobnie jak inne nasze pasorzyty — jest naszą plagą. I dlatego tylko nauka zajmuje się nią.

USTA W SERDUSZKO

Kobiety nigdy nie imponowały panu P. — juniorowi. Chyba, że miały własne auto, dobrą kucharkę, lub usta zrobione w serduszko. O kobiecie — graczu wypowiadał lapidarne zdanie, nienadające się do powtórzenia.

Toteż bogata jego dusza (wysłana honorami karcianymi) stanęła dęba z rozkoszy, gdy partnerka, urocza Lu, po jego dwóch karach z pierwszej ręki — zagrała brawurowo szlemika bez atu.

I kiedy po grze utonęli w cieniu ustronnego kącika za wielopalczastą palmą i podeszwowym kaktusem — On podał Jej (drżącej) w milczeniu wymownym — asa kier. Była wielka cisza. Karty klaskały o zielony stolik . . .

— Panno Lu, daję Pani me serce na dłoni!

Śmiejąc się przykryła asa paluszkami o różowych paznokietkach, które pan P. uniósł do swych warg. Potem padł na kolana i z żarem wyznał, że ją, pannę Lu ceni bardziej niż koronę bezatutową, a nawet — szlema z ręki. Lu zarumieniona, z opuszczonymi firankami rzęs — cudniejszą była od damy treflowej w luksusowym wydaniu Piatnika.

— O królu mój! — szepnęła, podając usta zrobione w serduszko.

*

Pan Pik został małżonkiem. Pełnię szczęścia zmącił ten drobny szczegółik, że pani Lu spaliła karty i zmusiła męża do zajęcia się handlem. Trzeba zarabiać na chleb i szykowne „korki" dla umiłowanej. Obecnie pan P. sprzedaje skarpetki. A kiedy pomyśli o bridżu — wzdycha.

Witold Horodyński

KĄCIK SZACHOWY NR 27

CZĘŚĆ ELEMENTARNA

Obrona łotewska

Ciąg dalszy.

Wariant IV, obrona C, subwarj. b, kontyn. 1.

1. e2—e4 e7—e5	10. Hh7—f7+[5]) Ke8—d8
2. Sg1—f3 f7—f5	11. Hf7×f8+ Kd8—d7
3. Gf1—c4? f5×e4!	12. Hf8—f7+ Sg8—e7
4. Sf3×e5 Hd8—g5![1])	13. Hf7×c4 Sb8—c6
5. Se5—f7?[2]) Hg5×g2	14. Sh8—f7[6]) Wa8—f8[7])
6. Wh1—f1 d7—d5	15. Sf7—h6 Sc6—e5
7. Sf7×h8 d5×c4[3])	16. Hc4—b5+ c7—c6
8. Hd1—h5+ g7—g6!	17. Hb5×b7+ Kd7—d6
9. Hh5×h7 Gc8—h3![4])	18. Hb7—b4+ c6—c5

Bilguer VIII wyd. analiza Möllera.

[1]) To posunięcie daje czarnym gwałtowny atak. Warianty są bardzo ożywione i pouczające dla początkujących gdyż podobne zwroty przychodzą często i w innych otwarciach (np. w obronie Philidora).

[2]) Ten ruch uważanym był przez dłuższy czas za obalenie 4... H—g5. dopóki doskonałe badania analityków: Möllera (Tidskr. f. Schach 1911) i Behtinga (St. Petersburger Ztg. 1909) nie wyjaśniły sytuacji. Obaj teoretycy wykazali przekonywująco, że czarne po 5. S—f7? uzyskują przewagę. Lepsze są kontynuowania 2) 5. G—f7! i 3) 5. d4! które omówimy później.

[3]) Przedtem uważano partię czarnych po 7... d×c4 8. H—h5+ za przegraną. Möller udowadnia, że 7... d×c4 może być bezpiecznie granym. Analiza Behtinga rozpoczyna się od 7... S—f6 (patrz późniejsze kontynuowanie 1a z grami 1, 2, 3), co jest także bardzo silnym.

Słabym jest 7... G—g4? 8. G—e2 G—h3 9. d3 G—d6 10. d×e4 H×e4 11. Wf—g1+ (Suhle podr.).

[4]) To silne posunięcie jest nowością Möllera (Bilguer VIII wyd. w r. 1916). Dawniej grano: 9... G—e6? po czym białe wygrałyby 10. H×g6+ H×g6 11. S×g6 G—d6 12. f4 e×f3 cp. 13. W×f3 S—c6 14. d3 e×d3 15. c×d3 S—b4 16. G—f4 G—f7 17. G×d6 c×d6 18. S—h4+.

[5]) Lub 10. H×g6+ H×g6 11. S×g6 G×f1 12. S×f8 (lub 12. K×f1 G—d6 13. K—g2 S—c6 itd.) G—h3 13. S—g5 S—c6 poczem 0—0—0 i czarne mają lepszą grę.

[6]) Lub 14. S×g6 S×g6 z groźbą S—e5.

[7]) Grozi W×f7. Białe nie mają dobrego ruchu. Jeśli 15. d4 to W×f7 16. H×f7? H×f1 17. K—d2 e3+ itd.

Wariant IV, obr. C, subwariant b, kontyn. 1a, gra 1.

1. e2—e4 e7—e5	9. Gd5—f7+[3]) Ke8—e7!
2. Sg1—f3 f7—f5	10. Gf7—c4[4]) Sb8—c6
3. Gf1—c4? f5×e4!	11. c2—c3[5]) Sc6—e5
4. Sf3×e5 Hd8—g5	12. Hd1—a4 Se5—d3+
5. Se5—f7? Hg5×g2	13. Gc4×d3 e4×d3
6. Wh1—f1 d7—d5	14. Ha4—b4+ Ke7—e6!
7. Sf7×h8 Sg8—f6	15. Hb4—c4+ Sf6—d5
8. Gc4×d5[1]) Gc8—h3![2])	16. Hc4×d3 Wa8—e8![6])

Bilguer VIII wyd. analiza Behtinga.

[1]) Gra 1): 8. G×d5, gra 2) 8. G—e2, gra 3) 8. S—c3.

[2]) 8... S×d5? 9. H—h5+.

[3]) Lub od razu 9. G—c4 S—c6 10. c3 S—e5 11.. H—a4+ c6 12. d4 (białe nie mają nic lepszego) e×d3 e. p. 13. S—d2 S—f3+ itd.

W razie 9. H—e2 nastąpiłoby S×d5.

[4]) Jeśli 10. H—e2 to S—c6 11. f4! H×e2+ 12. K×e2 S—d4+ 13. K—f2 S—g4+ 14. K—g3 G×f1 15. K×g4 S×c2, po czym S×a1 i czarne miałyby przewagę.

[5]) W razie 11. d4 nastąpiłoby W—d8 12. G—e3 S—e5 13. H—e2 (białe mogą oddać H grając 13. d×e5, lecz czarne po W×d1+ 14. K×d1 S-g4 miałyby lepszą pozycję) 13... b5! G×b5 S—f3+ 15. K—d1 G—g4 16. K—c1 S×d4 17. H—e1 S×b5+.

[6]) Czarne mają przewagę, gdyż po 17. K—d1 (17. c4? Sf4!) H×f1 18. H×f1 G×f1 pozostaje skoczek biały (h8) zamknięty.

CZĘŚĆ OGÓLNA

Studium Nr 12

K. A. L. Kubbel (I nagr. w konk. „Mag. Sakkö." 1934).

Czarne: Kd4. Hg2, piony: a6, c5, c7, e6, g7 (7).

Białe: Kd2, Sf6, piony: c2, c4, d3, c5, f2, f7 (8).

Studium 8+7 = 15

Białe zaczynają i wygrywają.

Rozwiązanie problemu Nr 12 (Gerbec):

1. S—h8 G×h8 2. S—g5 S—g2 3. H×c5+.

PARTIA Nr. 48

Białe: K. Richter — **Czarne: Stüber**

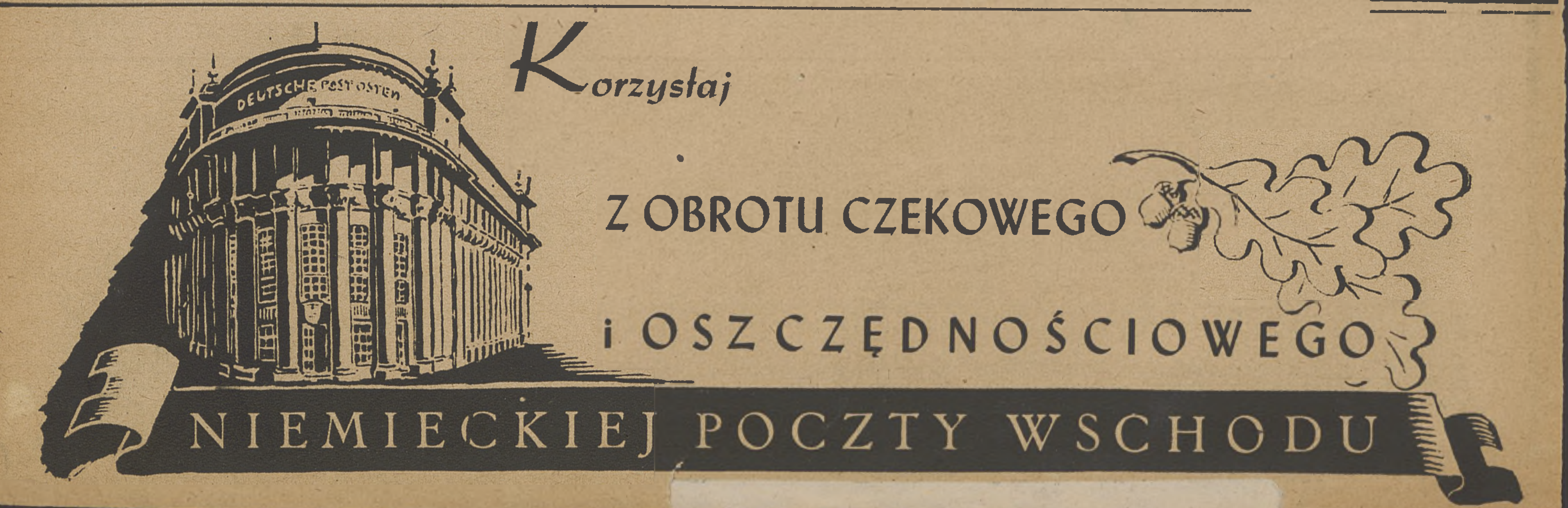
grana w turn. w Dutbt. 1929

Obrona francuska.

1. d4 d5	12. d×c5 G×c5
2. S—c3 S—f6	13. S—e4 G—e7
3. G—g5 e6	14. Sf—g5 h6
4. e4 G—e7	15. h4! H—c7? (f5!)
5. G×f6 G×f6	16. S—f6+ G×f6
6. e5 G—e7	17. e×f6 g6
7. H—g4 0—0	18. h5 H—e5
8. G—d3 S—c6? (c5!)	19. S—h7! K×h7
9. S—f3 S—b4	20. h×g6+ Czarne poddały się.
10. 0—0—0 S×d3+	
11. W×d3 c5	

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 220 61 ap. 64. Wydawnictwo Wielopole 1 tel. 135 60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900





KĄCIK BRIDŻOWY NR 3

CZĘŚĆ ELEMENTARNA

Na zakończenie podajemy skalę zapisów, zdaniem naszym najbardziej odpowiadającą dla początkujących. (Pierwsza mansza do 30 pkt — druga do 40 pkt).

Na bloczku do notowania lub kredą na suknie karcianego stolika rysujemy kreskę.

Pod kreską zapisujemy:

1) punkty na dograną,
2) premie: za 1-ą dograną 500 p. i za 2-ą dograną 1000 p.

Nad kreską:

1) za zrobienie zapowiedzianej gry t. zw. „bien joue" (za dobrą grę) — 50 p.,
2) za każdą nadrobioną lewę po 50 p.,
3) premie za zrobienie nielicytowanego szlema (wszystkie 13 lew) — 400 p.,
   premie za zrobienie nielicytowanego szlemika (12 lew) — 200 p.
   premie za zrobienie licytowanego szlema 2000 p. — za licytowanego szlemika — 1000 p.
4) za koronki: przy grze atutowej:
   a) mała korona: 4 honory w ręce 200 p., duża korona 5 honorów w ręce 400 p., łamana korona 4 honory w ręce i jeden honor u partnera 300 p.
      przy grze bezatutowej:
      korona asowa (4 asy w ręce) — 400 p.
   b) koronka asowa (3 asy w ręce) — 200 pkt., łamana korona asowa (3 asy w ręce — jeden u partnera — 300 pkt.
5) za wpadki przeciwników za każdą niedorobioną lewę a 50 p.

Wpadka — to niedorobienie przez jedną ze stron zapowiedzianej gry, np. AB zapowiedzieli 4 piki, — w rezultacie wzięli tylko 9 lew: leżą „bez jednej".

Zarówno „bien joue" jak i nadróbki i wpadki liczą się podwójnie dla strony będacej po pierwszej dogranej. Ważne jest również, że jeśli się dogrywa, należy pod kreską dopisać premię za dograną i **podkreślić**.

Również. jeśli jedna ze stron ma pewną ilość punktów na dograną, a druga strona w międzyczasie dogrywa, — podkreśla się punkty te przeciwnikom i choć w rachunku one się liczą, — nie mają jednak wartości na dograną i trzeba od początku grać znów do 30 p.

Dla przykładu podajemy zapis całego robra, wg. fikcyjnych gier — dla obydwu stron:

I. gra XY grają 1 pik robią 3 piki.
II. gra AB grają 4 kiery robią 6 kier (szlemika).
III. gra AB grają bez atu robią 2 b. a.
IV. gra XY grają 4 piki robią 5 pik; mają koronkę.
V. gra XY grają 4 kiery robią 3 kiery (leżą bez jednej).
VI. gra AB grają 5 trefli robią 3 trefle (leżą bez 2).
VII. gra XY grają 5 pik robią 5 pik.

Zapis powyższych gier przedstawia się jak następuje:

XY	AB
VII. 100	
VI. 200	V. 100
IV. 200	III. 150
IV. 100	II. 200
I. 150	II. 150
I. 9	II. 32
	II. 500 (1 dograna)
IV. 36	III. 10
(1 dograna) IV. 500	
VII. 45	
(2 dograna) VII. 1000	
2340	1142

Różnica na korzyść XY — 1198 p. Liczy się setkami (niżej 51 punktów odrzuca się, 51 i wyżej liczy się za 1 punkt). — W powyższym przykładzie XY — wygrali 12 punktów, czyli X wygrał + 12, Y + 12, A przegrał — 12, B przegrał — 12.

L i c y t a c j a — owa wymiana myśli między partnerami — to bodaj najważniejszy i najtrudniejszy etap gry. Chodzi tu o zbudowanie sobie trwałych podstaw do wyciągania wniosków z wzajemnych odzywek i osiągnięcia w rezultacie najwygodniejszej gry. Dobrowolny anons gracza opierać się musi na zasadach i informować możliwie dokładnie o wartości swej karty.

Zatem przy grze atutowej zapowiedzieć kolor można jedynie mając co najmniej 5 kart tego koloru z kilkoma honorami, oraz lewy w bocznych kolorach. Wymagane tu jest jednak również posiadanie choćby jednego asa w swych 13 kartach. Powyższe trzy warunki decydują o możliwości dobrowolnej licytacji.

Gracz, powiadomiony przez anons swego partnera o stanie jego karty musi na zasadzie własnych kart zorientować się, czy proponowany kolor wygodny jest do gry i jeśli tak, pasuje lub podnosi, aby doprowadzić do zamówienia wysokości gry, potrzebnej do zdobyc a manszy (30 punktów).

„Dogranie" jest bowiem tym celem, do którego przez cały czas gry dążą obie walczące strony (AB przeciw XY). Zatem „podtrzymywać" należy wówczas, gdy się ma pomoc zarówno w atutach, jak i bokach i zależnie od siły swej karty podnosi się na 2 (oznacza to pomoc przede wszystkim w atutach), na 3 (dobra pomoc i w atutach i w bokach) — lub od razu na ilość potrzebną do dogranej (wybitna pomoc, umożliwiająca zdobycie manszy przy prawidłowej odzywce partnera).

Jeśli kolor proponowany przez partnera się nie zgadza, należy zalicytować własny kolor, gdyż może przy tym atucie rezultat gry okaże się pomyślniejszy. Nie będzie to już oczywiście „dobrowolny" anons i nie wszystkie trzy warunki muszą być przestrzegane, jednakże ilość 5 kart atutowych obowiązuje.

Powyższe wskazówki podnoszenia dotyczą tzw. „nieprzymuszonego" podtrzymania. Ma to miejsce wówczas, gdy przeciwnicy pasowali, czyli ze swej strony żadnej propozycji gry nie wysuwali i przez to samo moc zapowiedzi licytującego trwa — Jeśli jednak kontrpartner też anonsował grę, podniesienie będzie miało charakter przymusowy i tym samym będzie może trochę mniej wartościowe dla rozpoczynającego licytację.

CZĘŚĆ OGÓLNA

Problem Nr 3 (P. Matiolański)

B:
♠ A.3.
♥ 9,2.
♦ A.D.7.5.2.
♣ A.D.9.2.

X:
♠ W.10.7.6.5.4.
♥ 8.5.
♦ 8.6.
♣ 6.5.4.

Y:
♠ D.9.8.2.
♥ 6.
♦ K.10.9.4.
♣ K.10.7.2.

A:
♠ K.
♥ A.K.D.W.10.7.4.3.
♦ W.3.
♣ W.8.

A rozgrywa kiery i robi szlema. Pierwsze wyjście ma X i atakuje waletem pik. Podać przebieg rozgrywki.

Rozwiązanie problemu Nr 2

Rozgrywka bardzo prosta. X po zabraniu pierwszej lewy asem pik (na stole) wychodzi kolejno A.K.D.W. karo zrzucając na nie z ręki A.K.D W. kier; po czym ze stolika wychodzi kolejno wszystkimi kierami. Pozostałe dwie blotki trefl zabija A i K trefl.

— Tak panią kocham, że poszedłbym za nią na koniec świata.
— Nie uczynisz pan tego.
— Ciekawym, kto mi przeszkodzi?
— Ja.
— A to jakim sposobem?
— Bo ja tam wcale nie pójdę.

*

Nauczyciel ma imieniny. Jeden z uczni dowiedział się o tym i położył nauczycielowi trzy cygara na pulpicie. Nauczyciel ucieszony pamięcią i podarunkiem mówi: — Wiesz, Jasiu, to jest bardzo ładnie ze strony twego ojca.
— O, ojciec nie wie o niczym — wyjaśnia mały Jasio — ale dla pana psora chętnie wezmę raz lanie.

*

— Świadek, czy oskarżony jest pańskim bratem?
— Tak jest, przez małżeństwo.
— Jak to przez małżeństwo?
— A, tak przez małżeństwo mojego ojca z moją matką.

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

— Panie komisarzu, moja żona gdzieś znikła!
— Znaki szczególne?
— Mam tu jej fotografię!
Komisarz przypatruje się przez chwilę, wreszcie z widocznym rozczarowaniem w głosie:
— Panie, więc pan szczerze pragnie, żeby wróciła?

*

Pani Grzmotnicka pochowała swego męża. Na jego nagrobku kazała wyryć następujące słowa: „Spoczywaj w spokoju dopóki nie spotkamy się na tamtym świecie".

*

— Wiesz, wczoraj spotkałam jakiegoś pana, który koniecznie chciał mnie pocałować. Nie masz pojęcia jak biegłam!
— I dogoniłaś go?

*

— Moja żona nigdy nie wie, czego chce.
— Szczęśliwcze, moja wie zawsze.

*

— Irenko, wierz mi, — mówi Hela do przyjaciółki, oszukiwanie nie należy do moich słabych stron.
— Wiem o tym, naturalnie, że nie; jest to właśnie twoja silna strona.

*

— Dlaczego twoja żona jest tak zazdrosną o twoją sekretarkę?
— Bo zanim pobraliśmy się, ona była moją sekretarką.

ROZKOSZE STAROPANIEŃSTWA

Prowadzę życia normalny tryb
i zdrowa jestem, jak któraś z ryb.
Nie znam zabiegów, torsji ni ciąż...
— nie wiem, co mąż.

Cały świat wielki dla mnie i mój
a nie „kąt własny" i gratów rój,
których dostarczył na mnóstwo rat
żydowski skład.

W mieszkaniu mojem pałac lub kram —
zależnie, kiedy czas na to mam;
nie muszę przecież blednąć i drżeć,
że leży śmieć!

I nie znam zmory: „oszczędzaj, licz!"
Dziś kino, jutro kawa lub bridż!
Wcale nie muszę zamyślać się:
mam — albo nie!

Czyjeś koszule... skarpetek stos...
Guzik od spodni... — to nie mój los!!
Za błysk obrączki być jedną z sług?
— Padam do nóg...

Bo gdy mi przyjdzie ochota prać,
szyć lub gotować — dam ludziom znać:
dobrze zapłacę... i może spaść
słów ciepłych garść......

O głupi kotlet, czy inne z miąs
nie będzie u mnie Kraków się trząsł!
Chcesz dobrodzieju, ziółek... czy zup...
— Sam sobie zrób!!

Chodzę lub leżę! robię, co chcę!
Wszystko jest dobrze! nic nie jest źle!
żadnych wymagań nie puszcza w tan
władca i pan...

W stos żółtych pieluch nie wkładam rąk.
Ni w dzień, ni w nocy nie drze się bąk
jak u sąsiadów — gdzie wieczny krzyk
i nie śpi nikt!

Gdy jestem głodna, to jem coś też.
Lecz nikt nie mlaska obok, jak zwierz...
i nie wydziwia nad tem, czy tem...
co jem — to jem!

Gdy wieczór zasnę, to śpię jak głaz —
nie muszę budzić się raz po raz,
bo nikt nie chrapie obok jak wół
przez życia pół.

Gdy mi się sprzykrzy samotnie żyć,
mogę, gdy zechcę, we dwoje być...
ale po chwilach szczęścia i snów
mam spokój znów!

Krysta Opalińska



— Panie redaktorze! Nie rozumiem jak pan mógł tak ostro skrytykować moje wiersze, gdy w swoim życiu nie napisał pan jeszcze żadnego poematu!
— Moja pani! Nie zniosłem także nigdy jajka, a poznam przecież od razu, które jest śmierdzące!

Rys: Empp — Kraków



— Potrzebuję pieniędzy na gwałt!
— Ja na rzeczy niemoralne pieniędzy nie pożyczę!!!

Rys. J. Paluch — K

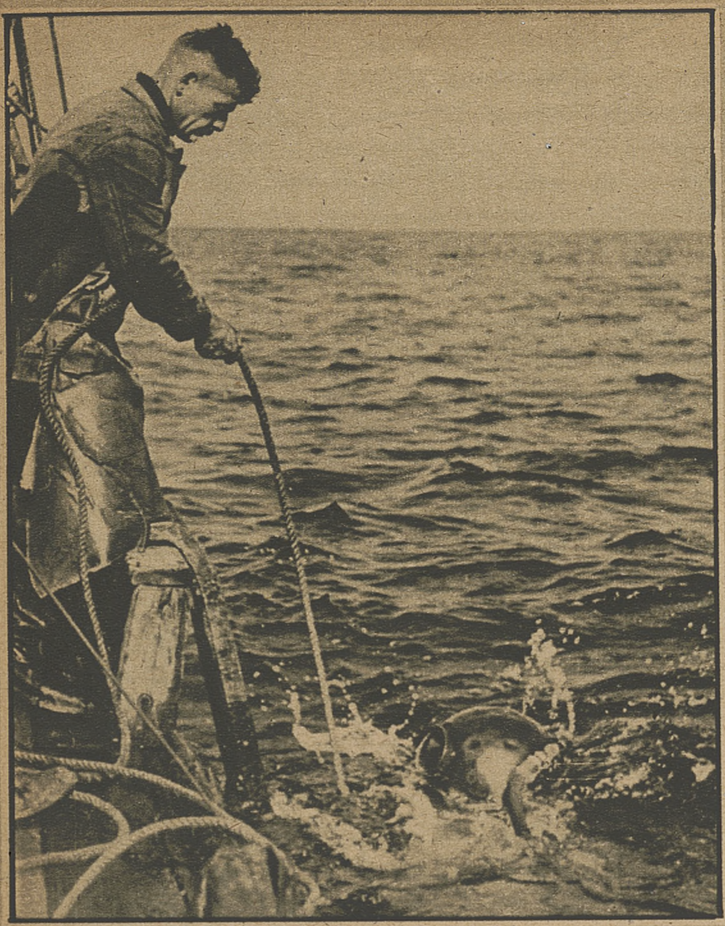
KARYKATURA POLITYCZNA



PRETENDENT

Bolszewizm chce opanować Europę. W purpurze krwi już farbuje swój płaszcz władcy.

Rys. HeHö-Atl.



Na lewo:
TERAZ KOLEJ NA WYDOBYCIE NURKA
Zbadawszy morskie d n o i rozpatrzywszy się w jego „terenie", nurek sygnalizował chęć wydostania się na powierzchnię. Obecnie zacznie się znowu praca „poławiaczy kamieni".

Na prawo:
JUŻ NA POKŁADZIE
Ciężki głaz, ociekający wodą i obrosły w zieleń morskiego d n a, pokryty mnóstwem drobniejszych i większych mięczaków, wydobyło linowym dźwigiem z toni. Za chwilę uchwyt kleszczowy znów zniknie w morskich falach.

Poniżej:
MORSKIE GŁAZY ZMIENIAJĄ WYGLĄD
Jeszcze w porcie, na miejscu wydobycia lub zwiezienia statkiem, kamienie zostają poddane zabiegom „krajania" i łupania. Stąd powędrują jako gotowy materiał na miejsce robót drogowych.



POŁAWIACZE KAMIENI



Morze — zdaniem badaczów natury — jest prakolebką wszelkiego życia na ziemi, w wodzie bowiem, w ciepłych jej głębiach odległych epok globotwórczych, rozwinęły się pierwsze rośliny i zwierzęta.

Do dnia dzisiejszego pozostało wielkie zbiorowisko wód, oceany, tajemniczą, wciąż jeszcze niedokładnie poznaną krainą kryjącą w swych głębiach olbrzymie skarby i niezmierzoną energię — nad zdobyciem których pracują dziesiątki tysięcy ludzi całego świata, a najtęższe umysły uczonych wszystkich krajów silą się nad wykorzystaniem praktycznym bogactw naturalnych i właściwości chemiczno-fizycznych morskich bezmiarów.

Realnych korzyści, płynących z zainteresowania się ludzkości od najdawniejszych czasów morzem nie trzeba wyliczać. Ryby, służące za pokarm stwarzające olbrzymi przemysł przetwórczy świata, których nawet skóra i szkielet znajdują gospodarcze spożytkowanie, dalej glony z rodziny rzemienic, będące znakomitym środkiem nawozowym i dostarczające jodu, perły i korale wkraczające w dziedzinę ozdób i kosztowności — i wreszcie zwyczajne kamienie chodników miejskich, to wszystko dary oceanów, czerpane z ich łona ludzkimi dłońmi ku zaspokojeniu potrzeb życia, wygody czy zbytku.

W okolicach, gdzie dno jest kamienistym podwodnym obszarem, przeważnie dalszym masywem skalistego nadbrzeża, wybiegającego niejednokrotnie barierami i łańcuchami, tak dla żeglugi zdradliwymi, daleko w morze, tam to znajduje się właśnie teren ciekawej pracy poławiaczy kamieni, uważających swój zawód za nie gorszy od rybackiego a zbliżony do gąbkowego czy nawet perłowego.

Tu i tam trzeba wszak najpierw z pomocą nurka zbadać dno, określić położenie i rozłożenie głazów czy odłupisk skalnych spoczywających wśród wodorostów i żyjątek podwodnych, równie pilnie strzec się trzeba potworów morskich, mających na swym sumieniu nie jeden krwawy wyczyn na poszukiwaczach zawisłych na linie czy też nurkujących tylko z nożem w zębach lub ręku. By wymienić tylko piasczysto-skalistą zatokę Colombo z jej rekinami i goszczącymi często po przypływach nie mniej niebezpiecznymi ośmiornicami, zrozumieć łatwo ryzyko trudu takiego „poławiacza", dzięki któremu podwodne złomy zostają wydobyte z pomocą kleszczowych dźwigów na specjalny statek roboczy, wyładowane w porcie, obrobione na kostkę, płyty czy szuter i zastosowane do budowy szos, autostrad, nawierzchni wielkomiejskich jezdni i chodników.





Fot. Eurofot

Na lewo:
WINDA PRACUJE BEZ PRZERWY!
Na molo gromadzą się kamienie, by po oczyszczeniu ich z oślizgłomokrego balastu służyć obróbce kamieniarzy. Materiału budulcowego dla bruków i jezdni będzie sporo.

Powyżej:
POWSTAJE NAWIERZCHNIA ULICY
Na kawałeczki połupane skały z dna morskiego zalegają trasę wytyczonej ulicy. Walec, piasek, asfalt lub kostka dokonują reszty. Kamienie z oceanu służyć będą pod postacią gładkiej jezdni celom miejskiej komunikacji.